

## Na ostrzu noża. Recenzja książki „Północ i Południe” Marka A. Cichockiego

Opozycję Północy i Południa Europy przeciwstawia Cichocki dominującej, i to miażdżąco, w dyskursie historycznym, filozoficznym, antropologicznym w naszej części Europy, opozycji Wschód – Zachód. Cichocki nie każe nam z wolna, strona po stronie, wchodzić w problematykę swojego zbioru, lecz wprowadza czytelnika in medias res już w eseju wstępnym – pisze Krzysztof Lubczyński w recenzji „Północy i Południa” Marka A. Cichockiego na łamach portalu Pisarze.pl.

Tytuł eseju jest szczególnie ważny. Może ważniejszy niż tytuł powieści czy wiersza, na pewno ważniejszy niż tytuł szkicu naukowego czy zwykłego artykułu prasowego. Tytuł eseju, to nie tyle jego esencja, ile znak tej esencji. Marek A. Cichocki opatrzył sześć swoich esejów (autor skromnie nazwał je po prostu tekstami) o polskiej kulturze i historii – skonfrontowanej jednak z sąsiadami – tytułem „Północ i Południe”. Brzmi on jak nawiązanie do amerykańskiej wojny secesyjnej, lecz choć tematycznie nie ma z nią nic wspólnego, to styka się – czynię tę uwagę „petitem” – jakąś daleką asocjacją, bo w tym dramacie amerykańskiej historii lat 1864-1865 poniekąd także odzwierciedliło się starcie dwóch cywilizacji.

Tę opozycję Północy i Południa Europy przeciwstawia Cichocki dominującej, i to miażdżąco, w dyskursie historycznym, filozoficznym, antropologicznym, w każdym razie w naszej części Europy, opozycji Wschód – Zachód, choć i tej poświęca najbardziej dramatycznie brzmiący wymową jeden z esejów

(„Smoleńsk. Ziemia przeklęta”). Cichocki nie każe nam z wolna, strona po stronie, wątek po wątku, wchodzić w problematykę swojego zbioru, lecz wprowadza czytelnika *in medias res* już w eseju wstępnym, „Sekretna mapa Europy”. Gdyby jednak zbiór Cichockiego układał dziennikarz, być może dałby na początek esej „Rzymska forma”, z wspomnieniem autora o jego udziale w rzymskiej konferencji i z zabawnego w końcu incydentu, którego malowniczym bohaterem był wybitny filozof niemiecki Peter Sloterdijk (nie zdradzę szczegółowo przebiegu tego komicznego epizodu, by nie odbierać przyjemności czytelnikom). Dostrzegł Cichocki w tym epizodzie rodzaj metafory, w której skryzalizowała się genealogia Europy, widzianej właśnie poprzez oś Północ-Południe.

Pozwolę sobie dodać do tego coś od siebie, coś o moim dawnym doświadczeniu Europejczyka z zza żelaznej kurtyny. W Paryżu i w Rzymie znalazłem się po raz pierwszy w życiu o ponad dekadę wcześniej od Cichockiego, a więc jako znacznie bardziej od niego „ubogi krewny”. Nie tylko bowiem nie byłem uczestnikiem międzynarodowej konferencji, ale czułem się tam jak kompletny „nędzarz”, który przybył z siermiężnej PRL lat osiemdziesiątych, objuczony puszkami konserw ciężkimi jak pociski artyleryjskie, z nikłą kwotą w kieszeni, mając problemy z korzystaniem z urządzeń technicznych, z którymi zetknąłem się po raz pierwszy i oszołomiony, niczym skarbami Sezamu, bogactwem i kolorystyką wystaw sklepowych oraz poziomem cywilizacji. Moja trauma była zatem większa niż szok młodego Marka A. Cichockiego. Ale ad rem, czyli do esejów.

„Sekretną mapą Europy” rozpoczyna autor pierwszy z tekstów, nawiązując właśnie do wspomnianej wyżej opozycji Północ-Południe. Rzeczywiście, przymiotnik „sekretna” jest tu właśnie dlatego uzasadniony, że odróżnia ją od mapy – by tak rzec – „jawnej”, którą tworzy oś Wschód-Zachód. Zasadność tę potwierdza przecież także fakt, że oś ta jest wyłącznie kulturowa i mocno

*Cichocki delikatnie pokazuje, że Europa zrodziła się ze zderzenia kulturowego, a potem wzajemnej osmozy, między północną a południową częścią kontynentu*

metaforyczna w porównaniu z twardszą, a kiedyś bardzo twardą polityczną osią Wschód-Zachód. Cichocki delikatnie (też słusznie, jako że mamy tu do czynienia

z czynnikami raczej miękkimi) pokazuje, że Europa zrodziła się ze zderzenia kulturowego, a potem wzajemnej osmozy, między północną a południową częścią kontynentu. Linie pomiędzy tymi dwiema strefami wyznacza obecność „romanitas”, czyli schryścianizowanej cywilizacji antycznej, można by rzec – postrzymskiej. Granicy symbolicznej między nimi proponuje autor upatrywać choćby w Lesie Teutoburskim, czy w granicy między poszczególnymi składnikami państwa Karola Wielkiego. Polska rzecz jasna przynależy do Północy.

Czym jednak ta przynależność się odznacza? Tym przede wszystkim, że leży niemal dokładnie na linii podziału Północ-Południe, a widać to choćby w renesansowej architekturze Krakowa i randze Akademii Krakowskiej. To tylko niektóre z wyrazów wielowiekowego procesu europotwórczego, wynikającego z konfrontacji, ale i z osmozy między Północą i Południem. Dopiero rozbiory I Rzeczypospolitej wypchnęły ją z tej osi, i wepchnęły między dwa kamienie młyńskie dwóch tyranii imperialnych ze stolicami w Berlinie i Petersburgu. Co jednak znamienne, wspomniana osmoza dokonywała się początkowo w sposób brutalny, poprzez wnikanie niszczycielskiej mocy północnych barbarzyńców w ramy łacińskiej cywilizacji „romanitas”.

Z czasem barbarzyńcy ucywilizowali się, złagodnieli i współtworzyli cywilizowaną Europę średniowiecza. Dokonał się proces, który objawił przewagę Ducha i Formy (rzymskiej) nad nagą siłą. Trochę emfaticznie można by rzec, że Siła ukorzyła się w końcu przed Duchem i Cywilizacją. Cichocki objaśnia ten proces posługując się między innymi myślą świętego Augustyna i jego „Wyznaniem”, z zawartą w nich, przeciwstawiającą się manicheizmowi, koncepcją zła jako pustki. Sprowadzając rzecz do skrajnego uproszczenia (św. Augustyn był wyrafinowanym intelektualistą) barbarzyńcy ze swą nagą, brutalną siłą przegrali z „romanitas”, bo wyrażali tylko pustkę, chaos, niebyt.

Wróćmy jednak do zawieszonego pytania, czym w tym wszystkim jest Polska – „śliwką w kompocie”, „Piłatem w Credo”, dysonansem? Niekoniecznie. Cichocki wywodzi, że przez „tak liczne wieki”, od chrztu Mieszka począwszy, tworzyła mozolnie swoją formę całkiem udatnie przystającą do tej, będącej spadkiem po „romanitas”, formę łacińską. „Tyle że nam, Polakom – powiada Cichocki – przydarzyła się po drodze katastrofa. Według Gombrowicza, Polska w XVIII wieku wypadła z własnej formy. Czasy saskie są symbolem owego straszliwego upadku polskości, będącego dla autora „Transatlantyku” wydarzeniem tak dojmującym i granicznym, że – jak twierdził – nigdy dotąd Polska tak blisko nie oparła się o piekło”. Słowem, zbliżyła się do augustiańskiej „pustki”.

Konkretyzując swoją myśl Cichocki dopowiada, że za Sasów polska z jej Formą zbrzydła, zdegenerowała się, zeszywniała, zeszkleroziała. Towarzyszył temu ogólnoeuropejski rozpad siły oddziaływania osi Północ-Południe na rzecz nowej: Wschód-Zachód. Wiązało się to, choć nie tylko, z erozją łagodnych, osmotycznych form „romanitas”. *Clou* nowej osi była idea modernizacji połączona z powrotem idei siły i panowania. Augustiańska

*Za Sasów polska z jej Formą  
zbrzydła, zdegenerowała się,  
zesztywniała. Towarzyszył temu  
ogólnoeuropejski rozpad siły  
oddziaływania osi Północ-  
Południe na rzecz nowej:  
Wschód-Zachód. Wiązało się to z  
erozją łagodnych, osmotycznych  
form „romanitas”*

pustka barbarzyńców  
powróciła, choć w  
innej postaci. Do tego  
już w XVII wieku  
Rzeczpospolita zaczęła  
odwracać się od  
Zachodu i Południa i  
kierować swoje  
zainteresowanie, a  
następnie ekspansję na  
Wschód, który mamił  
rozkoszami i  
pożytkami Orientu.  
Nie dziś i nie wczoraj

pojawił się myśliciele, którzy uważali, że wejście Polski w przestrzeń  
Wschodu było śmiertelnym w skutkach błędem, że było wtargnięciem w  
kraj straszliwego Czarnoksiężnika, które skończyło się dla Rzeczpospolitej  
nieszczęściem, wpadnięciem z przepaści, ponure bagna Wschodu. Cichocki  
zdaje się być spadkobiercą tych myślicieli. Zanim to się jednak stało, światli i  
wybitni Polacy tworzyli ową „formę polską”.

O dwóch takich spośród nich, Cichocki opowiada w esejach „Wincenty” i  
„Rzecz o Czarnym Kanclerzu”. Ten pierwszy, to biskup Wincenty Kadłubek,  
w uproszczonym przekazie publicystyki historycznej traktowany często jako  
durny bajarz i bajduła, nałogowy fantasta i mitoman, szukający antycznego,  
rzymskiego rodowodu Sarmatów znad Wisły. Cichocki znajduje w nim  
współtwórcę polskiej formy, który świadomie, posługując się fałszywym  
„piarem” i – rzeczywiście – także zwykłym zmyśleniem, szukał nici  
kulturowych, które uzasadniały by nasze powinowactwo z łacińskim  
Zachodem. Kadłubek był w trudniejszej sytuacji niż Gotfryd z Montmouth,  
autor XII-wiecznej „Historii królów Brytanii”, bo przecież Rzymianie dotarli

do sławetnej Wyspy, ale prawdę mówiąc jego pomysł, by praprzodkiem ludu Albionu uczynić Brutusa, potomka Eneasza aż tak bardzo od fantazji „kadłubkowych” nie odbiegał. Cichocki dzieło Kadłubka umiejscawia co prawda w sferze fantazji z punktu widzenia ściśle historycznego (walki Polaków z Rzymianami i Grekami, list Aleksandra Macedońskiego do Arystotelesa o Kraku), ale w płaszczyźnie duchowej i emocjonalnej znajduje dla niego sporo racji. W uważanym za anachronicznego bajorza Kadłubku zdaje się dostrzegać nie pozbawionego przeblysków geniuszu intelektualistę, który w języku mitu (na tyle stuleci przed choćby takim Leszkiem Kołakowskim) dostrzegł poręczne narzędzie budowania świadomości zbiorowej. Po wielu wiekach okazało się przecież, że baśnie Kadłubka wcale nie były tak zupełnie „od czapy”.

W latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku dwaj wybitni polscy pisarze (mając już znacznie więcej od średniowiecznego przodka argumentów faktograficznych) stworzyli dzieła w jakimś sensie idące „wincentową” drogą. To Jarosław Iwaszkiewicz w „Czerwonych tarczach” i Teodor Parnicki w „Srebrnych orłach” dokonali wysiłku osadzenia piastowskiej Polski w łacińskim („romanitas”) uniwersum średniowiecznej, chrześcijańskiej Europy. I nie były to tylko literackie fantazje. Druga opowieść personalna, to wspomniana „Rzecz o Czarnym Kanclerzu”, czyli Janie Zamoyskim. I tak jak średniowieczny Kadłubek budował mit mający na celu wspomaganie i wzbogacanie polskiej genealogii, tak „żelazny kanclerz” (zapewniam, że nie myślę go z Bismarckiem) kilka wieków później szukał formy dla nowoczesnego (na miarę ówczesnej Europy, z której zaczerpnął wzorce) państwa polskiego, dla idei silnej władzy, dla racji stanu. I tak jak postać Kadłubka jest uosobieniem poszukiwania sił dla polskiej genealogii, tak koncepcje, plany i próby podejmowane przez Jana Zamoyskiego w jakimś sensie leżą u podstaw poszukiwania formy i ciała polskiej państwowości, choć jego idee zderzyły się – i w rezultacie chyba przegrały, acz nie do końca pozostały bezpłodne – z koncepcją polskiego szlacheckiego w swych

korzeniach republikanizmu, nad moc przedkładającego wolność jednostki. Tak jak wstępny esej o „sekretnej mapie Europy” był szkicem podstawowych pojęć i wektorów, także geograficznych, odnoszących się go osi problematyki zbioru i tak jak eseistyczne opowieści o Kadłubku i Zamoyskim są personalnymi egzemplifikacjami polskich poszukiwań, tak „Rzymska forma” jest próbą zdefiniowania istoty i esencji „romanitas”.

Tu w sukurs przychodzi autorowi przywoływany już wcześniej Teodor Parnicki, nie tylko wybitny pisarz historyczny, ale też człowiek, którego genealogia i biografia jest jakby potwierdzeniem tezy Cichockiego o zasadniczym znaczeniu osi Północ-Południe. W gigantycznym, fragmentami monstrualnie zawiłym uniwersum swojej prozy Parnicki zarysował bowiem i niejako uwierzytelił te szlaki, którymi w swych esejach Cichocki podąża. Ba, Parnicki czynił to z większym, odpowiadającym jego bujnemu temperamentowi, rozmachem, dalece wykraczając poza Europę i sięgając choćby do Afryki, w tym do starożytnego Egiptu czy Meksyku. Lejtmotywnym tych wędrówek z Parnickim jest tytułowa „rzymska forma”, jako nadrzędna zasada porządkująca tamten opisywany świat, przy całej jego różnorodności.

*W sukurs przychodzi autorowi  
Teodor Parnicki, nie tylko  
wybitny pisarz historyczny, ale  
też człowiek, którego genealogia i  
biografia jest jakby  
potwierdzeniem tezy Cichockiego  
o zasadniczym znaczeniu osi  
Północ-Południe*

Kontrapunktem dla tego wątku jest podrozdział „Kalwaria Aleksandra Wata”. Okrutny los sprawił, że obaj pisarze, zupełnie od siebie niezależnie i bez wzajemnej wiedzy o swoim istnieniu, choć w tym samym czasie, stali się

więziami straszliwego stalinowskiego więzienia na lwowskim Zamarstynowie. I opowieść Parnickiego, i figura Wata posłużyła Cichockiemu do pokazania konsekwencji sytuacji, w której po – powiedzmy – heglowsku rozumiany „duch dziejów” przemieścił się spod rzymskich kolumn w piekło systemu sowieckiego. I by pokazać, jak uwewnętrznione pokrewieństwo z „romanitas”, cywilizacja łacińska, pomogło obu, każdemu w inny sposób przetrwać ten „sezon w piekle”, Cichocki przywołał scenę w której Wat, podczas więziennego spaceru po dachu moskiewskiej Łubianki, wsłuchuje się w pochodzące z radia z jednej z pobliskich kamienic dźwięki „Pasji św. Mateusza” Bacha. Jest to rodzaj ilustracji, która w dzisiejszym naszym odbiorze może czynić wrażenie ocierającej się może nawet o kicz, lecz dla tego, kto w tamtych okolicznościach tego doświadczył było doznaniem o niewyobrażalnej wręcz, autentycznej duchowej mocy. Obraz figury Wata byłby jednak zafałszowany, gdyby nie dodać, że jako – pierwotnie – stalinowski komunista, był on barbarzyńcą, który na rzymską formę się nawrócił.

W konkluzji „Rzymskiej formy” odwołuje się Cichocki do sytuacji współczesnej Europy. Zauważa, że (...) „istotą europejskiej kultury, tej, która pozwala udomowić mieszkającego w niej barbarzyńcę, jest ciągłe, nieustające podejmowanie prób ratowania i zbawienia rzymskiej formy – bez tej nie będzie europejskiej kultury, a wraz z tym nie będzie także polskości”. Nawiasem mówiąc, byłbym ciekaw poznać, co dokładnie rozumie Cichocki pod pojęciem „polskości”, choć on tego dokładnie nie wyłuszcza, poza zaakceptowaniem jej osadzenia w tradycji łacińskiego chrześcijaństwa. Podziw dla pracy jego myśli i dla jej estetycznego kształtu sprawia, że ufam, iż mimo zasadniczej różnicy światopoglądowej między nami, nie byłaby ona daleka od mojej osobistej wizji „polskości”. O ile wspomniane wyżej, w daleko idącym z konieczności skrócie, eseje, w sumie, mimo wynikających z jej obecnego kryzysu obaw o przyszłość Europy i kultury europejskiej, zawierają silny ładunek krzepiący, o tyle dwa ostatnie eseje mogą wywołać

smutniejsze asocjacje. W mniejszym stopniu dotyczą one wyjściowej dla tego eseistycznego zbioru koncepcji osi Północ-Południe, bardziej ciężkiego i dramatycznego dla Polski dziedzictwa, osi na którą nadziewała nas historia, czyli osi Wschód-Zachód. Rzekłbym, że kwestię obu tych kierunków postawił Cichocki na ostrzu noża. O tym, że tematyka to urazowa, świadczy zdanie, którym Cichocki rozpoczyna esej „Smoleńsk. Ziemia przeklęta”: „Bardzo długo bałem się Wschodu i zupełnie świadomie nie chciałem tam jechać”. Szukając genealogii polskich szlaków na Wschód, przywołuje autor i obraz „okropnej, odciętej od korpusu głowy biednego księcia Henryka Pobożnego (...) zatkniętej triumfalnie na tatarskiej włóczni pod Legnicą” i „radosną”, brutalną ekspansję kolonialną szlachty polskiej na Wschód w XVI i XVII wieku oraz wojenną tragedię Kresów, zakończoną odpadnięciem ich od Polski.

Kres polskiej „przygody ze Wschodem” widzi Cichocki w Katyniu 1940 roku: „Myślę, że to właśnie w Katyniu Polska i Wschód wzięły ze sobą ostateczny rozbrat”. Ja bym do tego dodał jeszcze jedno: klęskę wielowiekowej polskiej obecności na Wschodzie, której straszliwym finałem była rzeź wołyńska, lecz Cichocki dodaje jeszcze jedno: „Jest to obraz straszliwej, bezsensownej rzezi w podsmoleńskim lasku z 2010”. Cichocki nie objaśnia jaki jest literalny, szczegółowy sens tego zdania. Podkreślam – literalny i szczegółowy, toteż i ja się do niego nie odniosę. Być może uznał, że byłoby to ryzykowne także z intelektualnego punktu widzenia. Wybiera natomiast przestrzeń swoistej metafory, prawdziwie sugestywnej, bardzo mrocznej. Odwołuje się bowiem do znakomitego opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów”. Jednak nie sam motyw szaleństwa, opętania zakonnic i procesu o czary, mający korzenie francuskie (Loudun) jest w egzegezie Cichockiego wiodący. Jego zafascynowało uparte, konsekwentne, mimo przeszkód natury pisarskiej, związanych z historyczną chronologią, osadzenie akcji „Matki Joanny” na błotnistej, ponurej ziemi smoleńskiej, na „skraj łańcińskiego świata”. W ujęciu Cichockiego ziemia smoleńska, to „ziemia przeklęta”. „Pisarz uznał całkiem słusznie – powiada autor – że w tym miejscu zło będzie

działać najmocniej i człowiek będzie go najsilniej doświadczał”. Tu, na pograniczu „dwóch królestw”: polskiego i carstwa moskiewskiego, „rozegra się starcie człowieka ze złym, z demonami, które chcą nimi zawładnąć”. To starcie między światem „dobra i jasności” ze światem „zła i ciemności”. To teza, z której wynika, że Wschód (w domyśle Rosja) zaraża Polskę złem, ilekroć się z nią styka, a prawosławie zaraża złem łański katolicyzm.

Piszę ten tekst w porządku krytyki literackiej, a nie w porządku teologicznym, moralistycznym, eschatologicznym, a tym bardziej odnoszącym się do fenomenu egzorcyzmów, więc powstrzymam się od wyrażenia własnych odczuć czy myśli w tym względzie. Podobnie jak z tego samego powodu dystansuję się do aktualizacji odnoszących się do katastrofy smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku. Niezwykle sugestywna wymowa tego eseju, jego złożona architektura, jego erudycyjne tworzywo sprawiają natomiast, że sugestie Cichockiego wybrzmiewają niezwykle efektownie.

*Niezwykle sugestywna wymowa  
eseju „Smoleńsk. Ziemia  
przeklęta”, jego złożona  
architektura, jego erudycyjne  
tworzywo sprawiają natomiast,  
że sugestie Cichockiego  
wybrzmiewają niezwykle  
efektownie*

Zbiór kończy esej  
„Niemieccy  
hegemoni”, odnoszący  
się do relacji Polski z  
zachodnim sąsiadem,  
Niemcami. O ile w  
przypadku odniesienia  
wschodniego, autor  
niejako potwierdza  
swoje uprzednie  
ponure intuicje co do  
odwiecznych

historycznych intencji Rosji w stosunku do Polski oraz trucizna, którymi w nas  
tchnie od wieków, więc trudno tu mówić o rozczarowaniu – o tyle w

odniesieniu do Niemiec, można mówić o rozczarowaniu Cichockiego. Dla zilustrowania swej tezy posłużył się on (za pośrednictwem publicystyki politycznej Juliana Klaczki) faktem wielkiego rozczarowania, jakie przynieśli aspirującym do niepodległości Polakom, w 1848 roku, „frankfurccy liberałowie”, w których tamci upatrywali demokratycznych sojuszników swej sprawy, widząc w nich przeciwieństwo wrogiego prusactwa. Okazało się, że owi idealizowani liberałowie frankfurccy, reprezentanci „lepszych Niemiec”, okazali się nie mniejszymi wrogami polskiej niepodległości niż ich pruscy pobratymcy. U źródeł tej postawy był heglizm, narodowa niemiecka idea filozoficzna, która ukształtowała niemieckiego, faustowskiego, nieustannie dążącego do doskonałości niemieckiego ducha. To heglizm zrodził pogardę dla idei polskości, opartej na statycznej akceptacji życia jako i skłonnej do zamykania się na trwałe w anachronicznych formach. Niemiecki kategoryczny imperatyw ma z pogardą odnosić się do ograniczonej, „ujutnej” polskiej formuły egzystencji.

Wątpię jednak, by to poglądy „frankfurckich liberałów” sprzed 170 lat były dla Cichockiego najistotniejsze. Z pewnych sugestii autora można wnieść, iż skłania się on do przekonania, że obecny polsko-niemiecki konflikt, na poziomie metapolitycznym, ma takie właśnie, „heglowskie” źródło, choć w odmiennych okolicznościach historycznych. Co do mnie, to uważam, że Polska powinna istnieć i mieć możliwość kształtowania w sporze wewnętrznym swojej nowoczesnej Formy. Jednak gdybym został, jako Polak, postawiony przed wyborem między zatopieniem się w złu „smoleńskich błot” lub roztopieniem w heglowskiej nieograniczoności, między „niewolą moskiewską” a „berlińską”, wybrałbym tę drugą.

Eseje Marka E. Cichockiego są nieco mniej „powabne” stylistycznie niż wspaniali „Żuawi nicości” Krzysztofa Tyszki-Drozdowskiego, o których pisałem w poprzedniej edycji rekomendacji, napisane językiem bardziej

„surowym”, przezroczystym, rzeczowym, co nie zmienia faktu, że są jedną z najwybitniejszych eseistycznych wypowiedzi o polskiej kulturze i historii.

*Tekst ukazał się w ramach cyklu „Rekomendacje książkowe Krzysztofa Lubczyńskiego” na portalu [Pisarze.pl](http://Pisarze.pl)*